

Święty Augustyn – „Wyznania”

<Księga 4>

Spis treści

KSIĘGA CZWARTA.....	1
1. W okresie owych dziewięciu lat, od dziewiętnastego do dwudziestego ósmego roku życia.....	1
2. W owych latach nauczałem zasad retoryki	2
3. Nie wahałem się też przed zasięgnięciem rad u oszustów	4
4. W owych latach, właśnie wtedy, gdy zacząłem nauczać w mieście	6
5. To wszystko już dawno przeminęło, Panie, i czas zabił moją ranę	8
6. Cóż ja tu jednak opowiadani? Nie czas teraz na rozważania. To jest czas spowiedzi wobec Ciebie.....	9
7. Jakież to obłęd kochać człowieka jako coś więcej niż istotę ludzką!.....	10
8. Okazuje się, że czas nie biegnie bezużytecznie	11
9. Właśnie to kochamy w przyjaciółach	12
11. Otrząśnij się z marności, duszo moja.....	14
12. Jeśli podobają się dusze, trzeba je kochać w Bogu	15
13. Przedtem o tym wszystkim nie wiedziałem	17
14. A co mnie skłoniło, Panie Boże mój, żeby tę książkę dedykować Hieriuszowi.....	17
15. Nie dostrzegałem jeszcze tego, że fundament owej wielkiej tajemnicy jest w Twojej twórczej mocy	19
16. A jaki był pożytek z tego, że już wtedy, gdy miałem niespełna dwadzieścia lat, dotarło do moich rąk dzieło Arystotelesa noszące tytuł Kategorie?.....	22

KSIĘGA CZWARTA

1. W okresie owych dziewięciu lat, od dziewiętnastego do dwudziestego ósmego roku życia, zarówno sam byłem uwodzony, jak i innych wodziłem na manowce. Inni mnie oszukiwali i ja oszukiwałem innych pod wpływem różnych ambicji: publicznie tak zwanymi sztukami wyzwolonymi, w skrytości zaś tym, co

bezprawnie nazywaliśmy religią. Tam byłem dumny, tu zabobonny, a wszędzie próżny. Ubiegałem się o złudę sławy, łaknąc nawet oklasków słuchaczy, zwycięstw w konkursach literackich, wieńców, które nagradzają zwycięzcę, a tak szybko wędną. Przepadałem też za głupimi widowiskami i nie znałem umiaru w szukaniu przyjemności. Jednocześnie zaś, pragnąc uwolnić się od tego brudu, przynosiłem pokarm do „wybranych” i „świętych”, aby w warsztacie swych wielkich brzuchów wytworzyli dla mnie aniołów i bogów, którzy mieli mnie wyzwolić.

O to zabiegałem razem z przyjaciółmi, którzy z mojej winy i razem ze mną trwali w tych samych błędach. Niech się śmieją ze mnie ludzie dumni, tacy, których jeszcze nie obaliłeś zbawiennie i nie ugodziłeś, Boże mój. Ja jednak ku Twojej chwale wyznaję te zawstydzające czyny. Proszę, pozwól mi przejść w pamięci jeszcze raz te błędne drogi moje, te manowce, i złożyć Tobie ofiarę radosną. Bez Ciebie bowiem kimże byłbym, jeśli nie istotą biegnącą ku przepaści? A kiedyż dobrze mi się wiedzie, jeśli nie wtedy, gdy ssę Twoje mleko? Gdy pożywam Ciebie, pokarm, który nie niszczy? Czyż to samo nie dotyczy każdego człowieka — jeśli w ogóle jest człowiekiem? Lecz niechże silni i możni śmieją się ze mnie do woli. A ja, słaby, biedny — niech Ciebie wysławiam.

2. W owych latach nauczałem zasad retoryki. Ponieważ panowało nade mną pożądanie pieniędzy, sprzedawałem innym tę sztukę, która miała im umożliwić panowanie nad przeciwnikami w dyskusjach. Ale wiesz, Panie, że wolałem uczyć ludzi uczciwych, przynajmniej w takim stopniu uczciwych, jakich dziś można spotkać, i bez żadnych podstępnych zamiarów uczyłem ich retorycznych podstępów. Przewidywałem używanie tych kruczków nie w celu skazania niewinnego, lecz jeśli zajdzie taka potrzeba, w celu ocalenia

winnego od wyroku. Z daleka ujrzałeś, Boże, jak tracę grunt pod nogami na tym zdradzieckim obszarze, ale też dostrzegłeś, jak poprzez gęsty dym przebłyskują iskierki mej wiary, która przejawiała się w tym, że chociaż nauczałem ludzi goniących, jak i ja, za marnością i szukających kłamstwa, jednak starałem się uczyć ich rzetelnie.

W owych też latach żyłem z kobietą nie związaną ze mną prawnym małżeństwem, na którą natrafiła moja nie kierująca się roztropnością namiętność. Ale miałem tylko tę jedną kobietę i dochowywałem jej wierności. W tym związku mogłem przez własne doświadczenie poznać, jaka jest różnica między prawdziwym małżeństwem, zawieranym w celu wydania na świat potomstwa, a związkiem skojarzonym tylko dla zaspokojenia namiętności, w którym rodzą się dzieci także nie chciane — ale gdy się urodziły, to już się je kocha.

Przypominam też sobie, że pewnego razu, gdy miałem uczestniczyć w konkursie poetyckim w teatrze, jakiś wróżbita przysłał do mnie człowieka z zapytaniem, ile mu zapłacę za zapewnienie mi zwycięstwa. Mdło mi się zrobiło na myśl o takich obrzydliwych konszachtach i odpowiedziałem, że choćby ten wieniec miał być nieśmiertelnie złoty, nie godzę się nawet na zabicie muchy dla jego zdobycia. Zdaje się bowiem, że miał on złożyć zwierzęta w ofierze i takim hołdem zjednać demony, aby mi sprzyjały.

Ale Ty wiesz, Boże serca mego, że nie z czystej miłości do Ciebie odepchnąłem wówczas to zło. Jeszcze bowiem nie umiałem Ciebie kochać i nie umiałem myśleć o niczym innym, jak tylko o blasku rzeczy materialnych.

Czyż dusza wzdychająca do takich fikcji nie sprzeniewierza się Tobie, czyż nie ufa oszustwu, czyż nie pasie wiatrów?¹ Sprzeciwiłem się złożeniu w mojej intencji ofiary dla demonów, ale jednocześnie sam przecież składałem im ofiarę mymi fałszywymi wierzeniami. Cóż to jest karmienie

wiatrów, jeśli nie karmienie właśnie ich, demonów, czyli dostarczanie im przez swoje błędy powodu do radości i śmiechu?

3. Nie wahałem się też przed zasięgnięciem rad u oszustów zwanych astrologami. Oni wprawdzie nie składają ofiar ani nie zanoszą modłów do żadnych duchów, aby się udała wróżba, ale prawdziwa pobożność chrześcijańska stanowczo odrzuca to, co robią. Dobrze jest bowiem sławić Ciebie, Panie, i mówić: „Zmiłuj się nade mną, ulecz duszę moją, bo zgrzeszyłem przeciw Tobie”, i nie wykorzystywać Twojej pobłażliwości dla zapewnienia sobie swobody grzechu, lecz raczej pamiętać o słowach Pańskich: „Oto wyzdrowiałeś; już więcej nie grzesz, aby ci się co gorszego nie zdarzyło”ⁱⁱ

Ta zasada jest podstawą naszego zbawienia. Astrologowie zaś starają się ją obalić. Mianowicie mówią: „Niebo cię obarczyło przymusem grzeszenia”. Albo: „Wenus tego dokonała”. Albo Saturn czy Mars. Wszystko zaś po to, aby człowiek, ciało i krew, pyszna zgnilizna — stał się niewinny. Aby można było rzucić winę na Stwórcę i Rządcę nieba i gwiazd. A któż nim jest, jeśli nie nasz Bóg, błogość i źródło sprawiedliwości, Ty sam, który oddasz każdemu według jego uczynków, a sercem skruszonym i pokornym nie gardzisz?

Był w owym czasie pewien człowiek głębokiej wiedzy, który słynął jako lekarz.³ Ponieważ sprawował urząd prokonsula, włożył na moją głowę wieniec, gdy odniosłem zwycięstwo w konkursie. Tym jednak bynajmniej mnie nie uleczył; taką bowiem chorobę, na jaką cierpiałem, tylko Ty możesz pokonać, sprzeciwiając się pysznym, a pokornym dając łaskę. Ale nawet tego starszego człowieka wykorzystasteś do udzielenia mi pomocy, nawet poprzez jego ręce zesłałeś mi lekarstwo. Zaprzyjaźniliśmy się i słuchałem z uwagą tego, co miał mi do powiedzenia, bo chociaż mowa jego była

nieozdobna, jednak błyszcząca w niej inteligencja nadawała jego słowom i wdzięk, i ważkość.

Gdy mu powiedziałem, że się zagłębiam w księgach badaczy horoskopów, wtedy łagodnie i prawdziwie po ojcowsku zaczął mi perswadować, abym je precz wyrzucił, a czasu i sił, jakie można poświęcić rzeczom pożytecznym, nie marnował na takie brednie. Opowiedział mi, że sam w młodości studiował astrologię; zamierzał nawet uczynić ją swym zawodem i z niej czerpać środki utrzymania. A skoro opanował naukę Hipokratesa, to mogę ufać, że tamte księgi też nie miały dla niego tajemnic. Jeśli potem porzucił astrologię, a wybrał medycynę, to tylko z tej przyczyny, że przekonał się o wierutnej fałszywości owych ksiąg; a jako poważny człowiek nie chciał żyć z oszukiwania ludzi. „A ty — powiadał — masz z czego żyć. Zajmujesz się retoryką, a tę bzdurę traktujesz tylko jako rozrywkę; nie musisz z niej czerpać środków utrzymania. Tym bardziej więc powinienes mi wierzyć, gdy ci mówię, dlaczego porzuciłem astrologię. Przecież starałem się ją jak najdokładniej przestudiować, bo tylko z niej zamierzałem żyć...”

Kiedy mu zadałem pytanie, dlaczego wiele przepowiedni astrologicznych się sprawdza, on, jak umiał odpowiedział mi, że jest to rzeczą przypadku, z którym wszędzie wⁱⁱⁱ naturze trzeba się liczyć. Nieraz, mówił, zdarza się, że ktoś na chybił-trafił otwiera księgę jakiegoś poety i nagle wzrok jego pada na wiersz cudownie współbrzmiący z jego osobistą sytuacją, chociaż autor zupełnie o czym innym pisał i miał zupełnie inne problemy. Nie należy więc się dziwić, że umysł ludzki mocą jakiegoś wyższego natchnienia, którego sobie nie uświadamia, trafia czasami na właściwą odpowiedź, dostosowaną do faktów i okoliczności konkretnej kwestii; jest to rzeczą przypadku, a nie sztuki.

Tę odpowiedź daną mi przez niego albo raczej za jego pośrednictwem muszę Tobie przypisać, Panie. Przez nią wyźłobiłeś w mej pamięci rysy, do których potem miałem wrócić we własnych badaniach. Wtedy jednak ani ów uczony, ani mój kochany Nebrydiusz, przezacny chłopiec z bardzo dobrą głową, wyśmiewając się z takiego rodzaju wróżenia, nie zdołali mnie skłonić do porzucenia błędów.

Większy na mnie wywierała wpływ powaga autorów tych dzieł i ciągle nie znajdowałem dostatecznie mocnego i niewątpliwego dowodu na to, że trafne przepowiednie astrologów trzeba przypisać przypadkowi, a nie umiejętności czytania z gwiazd.

4. W owych latach, właśnie wtedy, gdy zacząłem nauczać w mieście, w którym się urodziłem, miałem bardzo bliskiego przyjaciela. Wiele nas łączyło: mieliśmy wspólne zainteresowania, a byliśmy też rówieśnikami, obaj w kwiecie młodości. Razem dorastaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły, wspólnie się bawiliśmy. Ale i to nie była — zarówno w dzieciństwie, jak i później — taka przyjaźń, jaka można by nazwać prawdziwą. Bo tylko wtedy przyjaźń jest prawdziwa, kiedy Ty nią wiążesz ludzi, którzy do Ciebie przywarli — rozlawszy miłość w sercach naszych przez Ducha Świętego, który jest nam dany. Ale ponieważ wyłoniła się ze wspólnych umiłowań, była bardzo błoga. Chłopiec ten nigdy nie był ani mocno, ani głęboko zakorzeniony w prawdziwej wierze, a ja go jeszcze od niej odciągałem ku fantastycznym, zgubnym przesądom. To wyciskało łzy z oczu mojej matce. Dorósłszy do lat męskich błądził razem ze mną, a bez niego czułem się zupełnie zagubiony. I nagle Ty, Panie, który ścigasz uciekających przed Tobą, Boże pomsty⁴, źródło miłosierdzia, Ty, co nawracasz nas ku sobie w niepojęty sposób — nagle zabrałeś mojego przyjaciela z tego żywota zaledwie po roku

bliskiej między nami przyjaźni, słodszej mi ponad wszystko, co w ówczesnym moim życiu było błogie.

Kto zdoła wyliczyć Twe chwalebne czyny, choćby się nawet ograniczył tylko do tego, czego sam w jednym swym życiu doświadczył? Czyż jestem w stanie pojąć, co wtedy uczyniłeś, Panie? Czy mogę zgłębić otchłań Twojej decyzji? Leżał w ciężkiej gorączce, nieprzytomny, obłany potem. Gdy uznano, że stan jego zdrowia jest beznadziejny, udzielono mu chrztu w stanie nieprzytomności. Ja nie przywiązywałem do tego żadnej wagi, zakładając, że dusza jego zachowa raczej to, czego się ode mnie nauczyła, niż to, czego dokonano na ciele człowieka nieprzytomnego.

Stało się jednak zupełnie inaczej. Wstąpiło w niego nowe życie i ozdrowiał. Przy pierwszej sposobności — a było to zaraz, gdy mógł już mówić, bo nie odstępowałem od niego, tak bardzo byliśmy obaj do siebie przywiązani — próbowałem żartobliwie zagadnąć go o chrzest, myśląc, że i on będzie się z tego wyśmiewał, bo ochrzczono go, gdy zupełnie nie był zdolny ani do myślenia, ani do odczuwania. Jemu jednak już powiedziano o tym, że został ochrzczony. Teraz spojrzał na mnie ze zgrozą jak na wroga. I z niespodziewaną, cudownie nabytą pewnością siebie ostrzegł mnie, że jeśli chcę pozostać jego przyjacielem, nigdy mi nie wolno mówić do niego takich rzeczy.

Zdumiony i zbity z tropu, postanowiłem nie sprzeciwiać mu się, dopóki nie wyzdrowieje zupełnie i nie wzmocni się wreszcie na tyle, abym mógł się z nim poważniej rozmówić. Ale on ocalał od mojego oblędu i u Ciebie znalazł schronienie — ku mojej pocieszę później. Po kilku dniach, gdy ja właśnie byłem nieobecny, wróciła mu gorączka i umarł. Wtedy ból zamroczył moje serce. Na cokolwiek patrzyłem, wszędzie widziałem tylko śmierć. Rodzinne miasto stało się dla mnie czymś niemożliwym do zniesienia, dom rodzinny — samym

nieszczęściem. Wszystko, co przedtem było nam obu wspólne, teraz, bez niego, zmieniło się w straszną mękę. Wszędzie go szukały moje oczy, a nigdzie go nie było. Wszystkie miejsca, gdzie dawniej bywaliśmy razem, były mi nienawistne przez to, że jego tam nie było, że już mi te miejsca nie mogły zapowiadać: Zaraz przyjdzie! — jak to było wtedy, gdy na niego czekałem, kiedy żył. I stałem się sam dla siebie wielkim problemem.

Pytałem mą duszę, dlaczego jest tak smutna i czemu tak strasznie mnie dręczy, a ona nie potrafiła mi na to odpowiedzieć. Gdy mówiłem: „Ufaj Bogu!” — też nie była posłuszna. I miała w tym rację, bo prawdziwszy i więcej wart był ten ukochany człowiek, którego utraciła, niż mgliste widmo, w jakim kazałem jej pokładać nadzieję. Kończyły mnie tylko łzy, które stały się największym po owym przyjacielu ukochaniem mej duszy.

5. To wszystko już dawno przeminęło, Panie, i czas zabił moją ranę. Czy mogę coś o tym usłyszeć od Ciebie, który jesteś samą prawdą? Czy mogę otworzyć uszy serca mego dla słów z Twoich ust, abyś mi powiedział, dlaczego płacz jest słodki dla nieszczęśliwych? Czy to możliwe, że Ty, chociaż wszędzie jesteś obecny, precz odrzuciłeś od siebie naszą niedolę? I w sobie samym przebywasz, podczas gdy nami poniewierają różne doświadczenia? Gdyby nasz płacz nie docierał do Twoich uszu, nie pozostałaby nam żadna nadzieja. Jakże więc się to dzieje, że jęk, płacz, westchnienie, skarga są jednak kojącym owocem, chociaż zbieranym z gorczy życia? Czy słodka jest w nim nasza nadzieja, że nas wysłuchujesz? Tak jest właśnie wtedy, gdy się modlimy; bo celem modlitwy jest przemówienie do Ciebie. Ale czy tak jest też w samym bólu po stracie, w takiej żałobie, w jakiej byłem wówczas pogrążony? Nie miałem przecież nadziei, że mu przywrócę

życie, i nie to było motywem moich łez. Po prostu cierpiałem, po prostu płakałem. Bo byłem bardzo biedny, utraciłem szczęście. Czy może płacz jest tylko goryczą, a staje się błogi jedynie wtedy, gdy obrzydnie nam to, czym się dawniej cieszyliśmy, i tylko na tak długo, jak długo trwa nasz wstręt?

6. Cóż ja tu jednak opowiadani? Nie czas teraz na rozważania. To jest czas spowiedzi wobec Ciebie. Nieszczęśliwy byłem, jak nieszczęśliwy jest każdy człowiek spętany przywiązaniem do rzeczy śmiertelnych, przeżywający straszne rozdarcie, gdy te rzeczy traci. Dopiero wtedy odczuwa nieszczęście, w którym był pogrążony już przedtem, zanim jeszcze te rzeczy utracił. Tak to wówczas ze mną było.

Gorzko płakałem i powoli uciszałem się w smutku. Byłem tak nieszczęśliwy, a jednak bardziej kochałem moje nędzne życie niż owego przyjaciela. Bo wprawdzie chciałem je zmienić, ale gdybym miał je utracić — byłoby to dla mnie straszniejsze niż jego utracić. Wątpię, czy zgodziłbym się za niego umrzeć, tak jak według tradycji — może zmyślonej — Orestes i Pylades gotowi byli umrzeć za siebie nawzajem; rozłączenie było dla nich czymś naprawdę gorszym od samej śmierci. Mnie opanował dziwny nastrój, całkowicie przeciwny: życie mi ciążyło jak okropne brzemię, a jednocześnie bałem się śmierci. Myślę, że im bardziej go kochałem, z tym większą nienawiścią i trwogą myślałem o najokrutniejszej nieprzyjaciółce, śmierci, która mi go zabrała. Niemal widziałem, jak ona niespodziewanie unicestwia wszystkich ludzi — skoro jego zdołała zabić! Tak wtedy odczuwałem, dobrze to pamiętam.

Oto serce moje, Boże mój! Wejrzyj w nie głęboko, w te moje wspomnienia, bo Tyś nadzieją moją jest, Ty mnie uwalniasz od takich mętnych uczuć, kierując oczy me ku Tobie, wyrywając moje stopy z sideł. Dziwiłem się, że inni śmiertelni ludzie żyją jeszcze, skoro umarł ten, którego tak kochałem,

jakby nigdy nie miał umrzeć. A zwłaszcza dziwiłem się, że po jego śmierci żyję ja, który byłem połową jego duszy. Trafnie to ktoś powiedział o przyjacielu: „Połowa duszy mej”.^{iv}

Odczuwałem to tak, że jego i moja dusza były jedną duszą w dwóch ciałach. Dlatego też przerażało mnie życie, bo nie chciałem przez nie kroczyć będąc tylko połową siebie. Może też właśnie dlatego tak bardzo bałem się umrzeć, aby ze mną nie umarł już cały ten, którego tak kochałem.

7. Jakiż to obłąd kochać człowieka jako coś więcej niż istotę ludzką! Jakaż to głupota buntować się przeciwko przyrodzonej człowiekowi doli! A ja właśnie w takim byłem stanie, żyłem w gorączce, jęczałem, płakałem, miotałem

się w udręce. Dusza moja, rozdarta i skrwawiona, była dla mnie brzemieniem. Znużyła się człowiekiem, który ją dźwigał. A nie znajdowałem miejsca, gdzie mógłbym ją złożyć i ukoić. Nie było dla niej ukojenia ani w pięknych gajach, ani wśród zabaw i śpiewu, ani w wonnych ogrodach, ani na ucztach, ani w rozkoszy łoża, ani w książkach wierszach. Wszystko mnie odpychało, nawet samo światło dzienne. Wszystko, co nie było tym, czym on był niegdyś, podłe było dla mnie i nienawistne — wszystko oprócz łez i jęku. Tylko w nich znajdowałem nieco pociechy. A gdy od tych cierpień starała się odejść moja dusza, przygniatało mnie do ziemi ciężkie brzemie niedoli, którą powinienem był ofiarować Tobie, Panie, bo tylko Ty jeden miałeś na nią lekarstwo. Wiedziałem o tym, ale nie chciałem tego ani też nie byłem do tego zdolny, zwłaszcza że nie myślałem o Tobie jako o czymś rzeczywistym i trwałym. Nie o Tobie myślałem, ale o jakimś nierzeczywistym widmie. Bóstwem mi było moje urojenie, a gdy w nim usiłowałem znaleźć dla mej duszy miejsce oparcia i spoczynku, nic jej tam nie mogło podtrzymać. Spadała przez próżnię i znowu mnie przygniatała.

I pozostałem sam dla siebie owym miejscem nieszczęsnym, w którym nie mogłem przebywać i z którego też nie mogłem uciec. Dokądże bowiem miało moje serce uciec od siebie samego? Gdzież było takie miejsce, w którym bym sam nie doścignął siebie? Ale z miasta rodzinnego wyjechałem. Oczywiście moje serce nie chciało szukać mego przyjaciela w nowym otoczeniu, gdzie nie nawykły do widywania go ciągle. Z Tagasty więc wyjechałem do Kartaginy.

8. Okazuje się, że czas nie biegnie bezużytecznie ani nie zostawia naszych uczuć w zupełnym bezruchu. Dokonuje dziwnych rzeczy w ludzkim umyśle. Świtał oto i mijał nade mną dzień za dniem. Ten przepływający czas przynosił mi nowe obrazy i nowy pokarm dla pamięci. I powoli obarczał mnie na nowo dawnymi rodzajami przyjemności, które stopniowo wypierały mój ból. Nastąpiło jednak po nim jeśli nie od razu nowe cierpienie, to przynajmniej to, co miało na mnie ściągnąć cierpienia. Bo czyż nie dlatego właśnie tamten ból zdołał mnie tak łatwo dosięgnąć i tak głęboko przeniknąć, że rozlałem duszę moją jak wodę na piasku, kochając istotę śmiertelną tak, jakby nigdy nie miała umrzeć? Największą ulgą i pociechą była dla mnie wspólnota z innymi przyjaciółmi, moimi współnikami w miłowaniu tego, co zamiast Ciebie miłowałem. A była to olbrzymia fikcja i uporczywe kłamstwo, którego nasze uszy, zaczerwienione od tej ochoty, ciągle gorączkowo łaknęły, a które wypaczało naszą myśl. Jeśli któryś z moich przyjaciół umierał, fikcja ta nie umierała razem z nim.

Przyjaźń zresztą jeszcze innymi przyciągała mnie urokami. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się w gronie przyjaciół, świadczyliśmy sobie nawzajem drobne przysługi. Razem czytaliśmy pięknie napisane książki, razem żartowaliśmy, razem zachowywaliśmy powagę. Czasem spieraliśmy się z

sobą, bez nienawiści, tak, jakby się człowiek mógł sam z sobą spierać, a te bardzo rzadkie spory były tylko przyprawą dla panującej między nami niemal zawsze zgody. Uczyliśmy jedni drugich, nauczyliśmy się jedni od drugich. Gdy kogoś z nas brakowało, bardzo tęskniliśmy za nim.

Z wielką radością witaliśmy wracających. Takimi to właśnie znakami, wyłaniającymi się z serc, które się wzajemnie kochają, malującymi się na twarzy i błyszczącymi w oczach, dźwięczącymi w mowie, przejawiającymi się w najróżniejszych gestach serdecznych, przyjaźń się coraz goręcej rozpala, a jej płomień może stopić wiele dusz w jedność.

9. Właśnie to kochamy w przyjaciółach, a kochamy aż tak bardzo, że człowiek czuje się winny, jeśli miłości nie odwzajemnia miłością. I nie żądamy od przyjaciół niczego oprócz owych oznak życzliwości. Stąd też żal tak gwałtowny, gdy któryś z przyjaciół umiera. Ogarnia nas wtedy ciemność smutku, błogość w gorycz się przemienia, serce nurza się we łzach. Zgasłe życie umierających staje się śmiercią dla nas, którzy zostajemy.

Szczęśliwy jest człowiek, który kocha Ciebie, a przyjaciela w Tobie, nieprzyjaciela zaś ze względu na Ciebie. Tylko taki człowiek bowiem niczego, co jest mu drogie, nie traci, bo wszyscy są mu drodzy w Tym, którego utracić nie można. A Tym jest ktoś inny, jeśli nie nasz Bóg, który niebo i ziemię stworzył i napełnia je swoją obecnością, bo właśnie przez takie napełnianie stworzył je? Ciebie traci tylko ten, kto sam Ciebie opuszcza. A opuszczając Ciebie, dokądże ucieka, dokądże natychmiast zmierza, jeśli nie od łaskawości Twej do Ciebie zagniewanego? Dokądkolwiek się zwróci, wszędzie napotka karzące go prawo Twoje. Prawo Twe to prawda, a prawda — to Ty sam.

10. **Boże mocy, nawróć nas**, ukaż nam oblicze Twoje, a ocalejemy. Dokądkolwiek człowiek chciałby pójść — jeśli nie zwróci się do Ciebie, wszędzie go dopada i przygważdża cierpienie, choćby nawet chwycił się rzeczy pięknych, ale takich, które są poza Tobą i poza jego duszą. A przecież one w ogóle by nie istniały, gdyby nie pochodziły od Ciebie! Jak słońce, wschodzą te rzeczy i zachodzą. Gdy wschodzą, to jakby zaczynają istnieć. Wzrastają potem aż do czasu, w którym osiągną doskonałość, a po jej osiągnięciu zaczynają starzeć się i giną. Nie wszystkie osiągną starość, ale wszystkie muszą umrzeć. Wtedy więc, gdy wschodzą, rozpoczynają drogę istnienia, na której im szybciej wzrastają ku swej pełni, tym też szybciej skłaniają się potem ku nieistnieniu. Takiemu podlegają prawu.

Takie dla nich przeznaczyłeś istnienie, gdyż są częścią wielkiej całości. Części tej całości nie istnieją wszystkie jednocześnie, lecz kolejno ustępują sobie i następują po sobie, i w ten sposób stanowią ową wszechcałość, której są elementami. Takiemu samemu prawu podlega nasz język, posługujący się dźwiękami dla wyrażania znaczeń. Nie istniałby on jako całość, gdyby jedno słowo nie ustępowało, skoro wyraziły to, co miały wyrazić, i gdyby nie następowały po nich słowa inne. Niechaj Cię za te wszystkie twory sławi dusza moja, o Boże, Stwórcu wszechrzeczy! Lecz nie pozwól, by do nich zmysłami przywarła w miłości. Rzeczy te bowiem idą szlakiem, jakim zawsze szły ku nieistnieniu, a duszę rozdzierają nieukojonym pragnieniem. Bo ona chce istnienia, chce znaleźć oparcie w tym, co kocha. A w nich takiego oparcia znaleźć nie może, bo one nie trwają. Przemijają nieustannie. Wymykają się naszym zmysłom do tego stopnia, że nikt nie może ich naprawdę uchwycić nawet w tym momencie, gdy jeszcze istnieją. Zmysły są ułomne, gdyż

należą do ciała; są ograniczone swą naturą. Wystarczają do innych celów, tych, do których zostały stworzone. Nie są zaś zdolne do tego, by zatrzymać strumień przemijania rzeczy, płynący od wyznaczonego im początku do wyznaczonego im kresu. Zostały bowiem te rzeczy stworzone słowem Twoim, które zarazem nakazuje im: Stąd dotąd.

11. Otrząśnij się z marności, duszo moja, nie ogłuszaj się wrzawą jej zamętu. Usłysz i ty! Oto Słowo samo woła, abyś wróciła, a w Nim jest miejsce spoczynku, którego nic nie zakłóci. Tam miłość nie zostaje opuszczona, jeżeli sama nie odchodzi... Oto jedne rzeczy mijają, aby po nich nastąpiły inne i aby ze wszystkich tych części kojarzyła się całość najniższego stworzenia. Czyż ja dokądkolwiek odchodzą? — mówi Słowo Boże. Tu rozepnij swój namiot, duszo! Powierz Słowu wszystko, co masz — bo przecież masz to od Niego. Przynajmniej teraz, duszo moja, gdy już znużyłaś się kłamstwami, powierz Prawdzie to, co otrzymałaś od Prawdy, a niczego nie utracisz. Znowu zakwitnie to, co w tobie uwiędło, i uleczona będziesz ze wszystkich twoich chorób. Śmiertelne twoje ciało będzie naprawione i odnowione, i mocno z tobą związane, a gdy umrze, nie pociągnie cię z sobą do grobu, lecz przetrwa i pozostanie z tobą przed obliczem Boga, który trwa i pozostaje na zawsze.

Dlaczego więc schodzisz na manowce, dlaczego krocysz za głosem ciała? Niech raczej ono się nawróci i za tobą idzie. Cokolwiek poznajesz za jego pośrednictwem, poznajesz tylko częściowo. Cieszy cię to, ale jednak jest to tylko część, należąca do całości, której nie znasz. To w celu ukarania ciebie taka granica poznania została wyznaczona dla twoich zmysłów. Ale nawet gdyby było inaczej, gdyby zmysły twoje były zdolne do ogarnięcia całości, pragnęłabyś, aby wszystko, co zaistniało w teraźniejszości, przemijało — byś mogła

większą czerpać radość z całości. Przecież przez zmysły dociera do ciebie także to, co mówimy.

I nie chcesz, żeby sylaby na zawsze trwały, chcesz, żeby ulatywały, a na ich miejsce zaczynały dźwięczeć inne, i żebyś mogła usłyszeć całość wypowiedzi. Zawsze tak ma się rzecz z częściami składającymi się na całość. Nie istnieją wszystkie jednocześnie, ale jeśli można je odczuć jako jedność, to dają więcej radości razem wzięte niż każda część z osobna. Lecz o ileż jeszcze więcej wart od nich wszystkich jest Ten, który je wszystkie stworzył. To On jest Bogiem naszym. On nie odchodzi, bo nic nie może nastąpić po Nim. Jeśli rzeczy materialne dają radość, Boga trzeba za to chwalić. Miłość zwróć nie ku nim, ale ku ich Stwórcy, bo inaczej — upodobania twoje sprawiają, że ty nie będziesz się Jemu podobać.

12. Jeśli podobają się dusze, trzeba je kochać w Bogu. Bo także dusze są zmienne, a w Nim osiągają trwałą równowagę. Inaczej — szłyby własną drogą ku nieistnieniu. W Nim trzeba je kochać. Porwij je z sobą ku Niemu — wszystkie, które zdołasz poruszyć — i powiedz im: „Jego miłujmy, Jego! On to wszystko uczynił, a nie przebywa daleko od nas”. Bo nie jest tak, że uczynił i odszedł. Od Niego pochodząc, te rzeczy w Nim istnieją. On jest wszędzie tam, gdzie odczuwamy smak prawdy. Przebywa w samej głębinie naszego serca, a serce odeszło od Niego, by błądzić po manowcach. „Wróćcie, występni, do serca” 6 — uchwycie się Tego, który stworzył was! Trwajcie w Nim, a nic was nie zachwieje. Spocznijcie w Nim, a będziecie mieli pokój. Czemuż idziecie ku rozpadlinom? Dokąd dążycie? To dobro, które kochacie, od Niego pochodzi. Tylko w takiej mierze jest dobrem i czymś błogim, w jakiej jest skierowane ku Niemu. Słusznie

przemieni się w gorycz, jeśli człowiek opuszcza Boga i nieprawą miłością kocha to, co od Niego pochodzi.

Czemuż więc tak uparcie brniecie przez drogi trudne, pełne udręki? Nie ma spokoju tam, gdzie go szukacie. Możecie szukać bez końca: gdzie chcielibyście znaleźć spokój, jego być nie może. Szukacie szczęśliwego życia w krainie śmierci. Nie ma go! Jakże mogłoby być szczęśliwe życie tam, gdzie w ogóle żadnego życia nie ma?^v A właśnie tu zstąpiło do nas Życie nasze, pokonało naszą śmierć, zabiło ją mocą swojej żywotności i zawołało głosem wielkim, abyśmy wrócili stąd do Niego, do tej odrębnej dziedziny, z której Ono zstąpiło do nas. Najpierw wstąpiło do łona Dziewicy, gdzie zaślubiło naszą ludzką, cielesną i śmiertelną naturę, aby nie pozostała śmiertelną na zawsze. A potem „jak oblubieniec wychodzący z komnaty swej, rozradowało się jak olbrzym widzący przed sobą drogę, którą ma przebiec”^{vi} Nie ociągało się, lecz pobiegło, wołając słowami, czynami, śmiercią, życiem, zstąpieniem do otchłani, wstąpieniem do nieba — wołając, byśmy do Niego wrócili. I zniknęło z naszych oczu, abyśmy zwrócili się do naszych serc i tam Je odnaleźli. Odeszło i oto jest tu z nami. Nie chciało pozostać z nami na długo, a nie opuściło nas. Tam bowiem odeszło, skąd nigdy nie wychodziło, albowiem świat został przez Nie stworzony i było Ono w tym świecie^{vii}, a przyszło na ten świat, aby zbawić grzeszników.^{viii} Jemu spowiada się dusza moja, aby ją uleczyło, bo zgrzeszyła przeciw Niemu. Synowie ludzcy, dokądże wasze serca będą tak twarde? Nawet teraz, po zstąpieniu Życia, nie chcecie wznieść się razem z Nim i żyć? Dokądże jednak się wzniesiecie, skoro już jesteście na wyżynie i wasz głos bije w niebo? Zstąpcie najpierw, aby potem się wznieść — abyście mogli wstąpić ku Bogu. Upadliście bowiem wznosząc się przeciw Niemu. Powiedz o tym, duszo moja, innym ludziom — niech zapłaczą w dolinie

łez — i tak porwij ich z sobą ku Bogu. Bo z Jego Ducha mówisz to do nich, jeśli przemawiasz ogarnięta płomieniem czystej miłości.

13. Przedtem o tym wszystkim nie wiedziałem i kochałem piękność niższego rzędu, pograżając się w przepaść. Mówiłem do przyjaciół: „Czyż kochamy cokolwiek innego oprócz piękności? A co jest piękne? I co to właściwie jest piękność? Co nas pociąga i przywiązuje do rzeczy, które kochamy? Gdyby nie było w nich piękna i uroku, na pewno by nas nie nęciły”. Gdy się przyglądałem rzeczom materialnym, uderzała mnie różnica między pięknnością przedmiotu, który się ujmuje jako odrębną całość, a pięknnością, którą można dostrzec we właściwej proporcji między rzeczami; tak na przykład piękna może być proporcja między poszczególnymi członkami a całym ciałem albo obuwie może być dobrze dostosowane do stopy. Idea ta tak mocno utkwiała w moim umyśle, jak też w samej głębi serca, że napisałem książkę *O pięknie i proporcji* w dwóch czy trzech tomach. Nie pamiętam już — ale Ty wiesz to, Panie. Nie mam już tego dzieła, gdzieś mi się zagubiło.

14. A co mnie skłoniło, Panie Boże mój, żeby tę książkę dedykować Hieriuszowi, jednemu z retorów rzymskich? Nie znałem go osobiście, lecz bardzo wysoko go ceniłem ze względu na otaczającą go wielką sławę uczoneści, jak też dlatego, że dotarły do mnie różne jego wypowiedzi, które mi się spodobały. Ważniejsze jednak było to, że podobały się innym i że ludzie wysławiali go pod niebiosami. Podziwiali, że ten Syryjczyk, zdobywszy greckie wykształcenie retoryczne, potem zdołał zabłysnąć także jako nadzwyczajny mistrz wymowy rzymskiej, i że miał też olbrzymie wykształcenie filozoficzne. To właśnie najbardziej mnie do niego pociągało. Okazuje się, że można wychwalać, a nawet kochać ludzi,

których się nigdy nie widziało. Czy same głoszone przez innych pochwały wystarczą, aby ten, kto ich słucha, pokochał człowieka chwalonego? Na pewno nie.

Ale entuzjizm jednego człowieka w jakiś sposób udziela się drugiemu. Podziwiamy osobę, którą się wobec nas chwali, tylko wtedy, gdy wierzymy w szczerą ową pochwałę, czyli wtedy, gdy chwali owego człowieka ktoś, kto go naprawdę kocha. W taki właśnie sposób ja kochałem wówczas ludzi na podstawie sądu innych ludzi, a nie na podstawie Twego, Boże mój, sądu, na którym nikt się nie zawiedzie. Ale właściwie dlaczego nie podziwiałem owego Hieriusza tak, jak mógłbym podziwiać słynnego woźnicę rydwanu wyścigowego albo bardzo popularnego łowcę w igrzyskach cyrkowych, lecz zupełnie inaczej, o wiele żarliwiej, tak, jak pragnąłem, aby i mnie podziwiano? Nie chciałem bowiem, żeby admiirowano mnie i kochano tak, jak się admiirowuje i kocha aktorów — chociaż sam też obdarzałem ich podziwem i sympatią. Wolałbym w ogóle nie być znany niż mieć taką popularność; i spotykać się raczej z nienawiścią niż z taką miłością. Gdzież to się mieszczą w jednej duszy tak różne i przeciwne sobie nawzajem upodobania? Jak się one równoważą? Czy to nie dziwne, że jakąś cechę mogę lubić u innego człowieka, a u siebie samego brzydziłbym się nią? Przecież i ja, i on — obaj jesteśmy ludźmi. Człowiek może podziwiać dorodnego konia, a nie chciałby stać się koniem, gdyby to nawet było możliwe... To samo odnosi się do naszego podziwu dla aktora. Ale ten człowiek uczestniczy w tej samej co my naturze ludzkiej. Czyż więc mogę lubić u innego człowieka to, co byłoby mi nienawistne u mnie samego, który przecież także człowiekiem jestem? Wielka, tajemniczą przepaścią jest człowiek, o Panie! Tyś policzył włosy na jego głowie i żaden nie spadnie bez Twej woli.^{ix}

Ale łatwiej zliczyć jego włosy niż jego uczucia i poruszenia jego serca. Ów retor należał do tego rodzaju ludzi, których najgoręcej podziwiałem i którym pragnąłem dorównać. Unoszony pychą, płynąłem poddając się wszystkim wiatrom. A Ty sterowałeś mną w sposób, którego nikt pojąć nie zdoła. Wiem teraz na pewno i Tobie szczerze wyznaję, iż podziwiałem Hieriusza bardziej dlatego, że inni go chwalili, niż dlatego, że posiadał zalety, które mu zjednywały pochwałę. Gdyby ci sami ludzie nie chwalili go, ale krytykowali, i gdyby o tych samych jego cechach mówili z naganą i wzgardą, nie obudziłby się we mnie żaden entuzjizm dla niego.

A przecież rzeczy nie miałyby się inaczej, i sam ten człowiek bynajmniej nie byłby inny. Odmienne byłoby tylko nastawienie tych, którzy o nim opowiadali. W jakiej słabości, w jakiej niemocy leży dusza, która jeszcze nie stanęła na twardym gruncie prawdy! Jak inni zatrzępią językiem, jak inni gwizdną, tak ona zwraca się i nawraca, kręci się w tę i w przeciwną stronę. Światło ćmi się jej w oczach, chmura zakrywa prawdę. A prawda jest tu przed nami! Dech mi zapierała myśl o tym, że on sam, wielki Hieriusz, przeczyta moją książkę i pozna moje poglądy. Jeszcze goręcej pragnąłem, żeby je pochwalił. Gdyby zaś skrytykował... To byłby sztylet w samo serce pełne próżności, oderwane od prawdy Twojej. Ale zagadnienie piękna i proporcji, omawiane w dziele dedykowanym Hieriuszowi, naprawdę mnie interesowało, i żarliwie o nim rozmyślałem nawet wtedy, gdy nikt mnie za to nie chwalił.

15. Nie dostrzegałem jeszcze tego, że fundament owej wielkiej tajemnicy jest w Twojej twórczej mocy, o wszechmocny Boże, który czynisz takie cuda, jakich nikt inny nie czyni. Myśli moje krążyły tylko wokół kształtów materialnych. Określiłem różnicę — ilustrując ją przykładami czerpanymi z obserwacji

przedmiotów materialnych — między pięknem, czyli tym, co się podoba samo w sobie, a proporcją, czyli tym, co podoba się dzięki harmonijnemu dostosowaniu do czegoś innego. Zastanawiałem się też nad naturą umysłu; ale wyznawane przeze mnie fałszywe poglądy na sprawy duchowe uniemożliwiały mi dotarcie do prawdy w tej dziedzinie, chociaż wprost rzucała się ona w oczy. Moje rozgorączkowane myśli odwracały się od bytu bezcielesnego ku zarysom, barwom i kształtom. A ponieważ w umyśle ani linii, ani barw, ani kształtów nie dostrzegałem, sądziłem, że nie mogę nic o nim wiedzieć. W cnotie ceniąc spokój, a w występku dostrzegając przede wszystkim zakłócenie ładu, wnioskowałem, że cnota polega na pewnego rodzaju jedności, a występki — na rozdarciu. Sądziłem, że na takiej samej jedności polega racjonalność myśli, jak też istota prawdy i najwyższego dobra. W owym zaś rozdarciu dopatrywałem się, nieszczęsny, jakiejś jak gdyby substancji życia irracjonalnego, jak też istoty największego zła, które według mojego ówczesnego mniemania miałyby być nie tylko substancją, ale wręcz formą życia, nie pochodząc jednak od Ciebie, Boże mój... A przecież od Ciebie pochodzi wszystko, co istnieje.^x Jedność nazywałem „monadą”, uważając ją za umysł pozbawiony płci, rozdarcie zaś „dyadą”, która miałaby składać się z pasji prowadzącej do przemocy i z żądz będącej źródłem rozpusty. Zgoła nie wiedziałem, co wygaduję. Bo nikt mnie jeszcze nie pouczył i nie wiedziałem o tym, że zło nie jest substancją ani też umysł ludzki bynajmniej nie jest najwyższym i niezmiennym dobrem. Gwałty popełnia się wtedy, gdy uczucia, jakie popychają nas do działania, są skażone i burzą się zuchwale bez żadnego wędzidła. Grzechy przeciw naturze — gdy nie zna umiaru ów popęd duszy, który zmierza do rozkoszy cielesnych. Obrastają też nasze życie błędne i fałszywe mniemania, jeśli sam nasz

rozum się wypaczył. Tak się działo właśnie ze mną w owym czasie. Nie wiedziałem, że po to, aby mój umysł mógł mieć uczestnictwo w prawdzie, musiałby być oświetlony innym światłem; bo sam nie jest istotą prawdy. Albowiem Ty zapalisz lampę moją, Panie Boże mój, rozświecisz moje ciemności^{xi}, a z pełności Twojej myśmy wszyscy wzięli.¹³ Tyś jest światłem prawdziwym, które oświeca każdego człowieka przychodzącego na ten świat¹⁴, bo w Tobie nie ma odmiany ani cienia zmienności.¹⁵ Próbowałem przedzierać się ku Tobie, a Ty mnie odpychałeś, bym zakosztował śmierci. Albowiem pysznym się sprzeciwiasz.

A czyż może być pycha gorsza od tego zdumiewającego obłędu, który mi wówczas kazał głosić, że jestem z natury tym, czym jesteś Ty? Byłem istotą podległą zmianom, o czym wiedziałem choćby stąd, że pragnąłem stać się mądry, czyli z gorszego stać się lepszy. Wobec tego wołałem uznać, że także Ty jesteś zmienny, niż pogodzić się z myślą, że nie jestem tym, czym Ty jesteś. Odpychałeś więc mnie i miażdżyłeś moją głupią pychę. A moja wyobraźnia nadal igrała formami materialnymi. Sam będąc istotą cielesną, potępiałem ciało. Byłem jak zbłąkany powiew wiatru, niezdolny do tego, by powrócić do Ciebie. Dawałem się unosić fali, zmierzając ku rzeczom, które nie istnieją w ogóle — ani w Tobie, ani we mnie, ani w materii. Nie stworzyła ich dla mnie prawda Twoja, lecz wymyśliła je — biorąc za punkt wyjścia rzeczy materialne — moja nedorzeczna fantazja. I mówiłem o tym do wiernych Twoich dzieci, z których wspólnoty byłem wygnany, chociaż nie wiedziałem o tym. Zaczepiałem ludzi nachalnie, głupio; pytałem: „Dlaczego błądzi dusza, chociaż Bóg ją stworzył?” A nie lubiłem, gdy mnie pytali: „Dlaczego więc twoim zdaniem błądzi Bóg”? Wołałem wtedy utrzymywać, że niezmienna Twoja istota musi podlegać błędom, niż przyznać, że moja zmienna istota dobrowolnie

zeszła na bezdroża i że błędy, w jakie się uwikłała, są dla niej zasłużoną karą. Kiedy pisałem ową książkę, miałem lat dwadzieścia sześć albo dwadzieścia siedem. Odurzając się fikcjami wywiedzionymi z materii, nieświadomie czyniłem moje serce niezdolnym do usłyszenia głębokiej muzyki Twojej, do której jednak bardzo tęskniłem, o słodka Prawdo! Rozmyślając o pięknie i proporcji, pragnąłem znieruchomieć w zasłuchaniu i usłyszeć Ciebie, uradować się głosem Oblubieńca." A nie udawało mi się to. Bo głosy moich błędów wywoływały mnie na ulicę i pod brzemieniem pychy osuwałem się ku nizinom. Jeszcze uszy moje nie doznały od Ciebie radości i wesela; jeszcze nie rozradowały się kości, bo jeszcze się nie ukorzyły.^{xii}

16. A jaki był pożytek z tego, że już wtedy, gdy miałem niespełna dwadzieścia lat, dotarło do moich rąk dzieło Arystotelesa noszące tytuł Kategorie? Ilekroć mój kartagiński nauczyciel retoryki i inni, którzy uchodzili za uczonych, wymieniali ten tytuł, tak wydymali policzki, że marzyłem o tej książce, jakby to było nie wiadomo co, zgoła coś boskiego. Przeczytałem ją bez niczyjej pomocy i zrozumiałem. Inni mówili mi, że zdołali ją zrozumieć dopiero pod kierunkiem bardzo wykształconych nauczycieli, którzy nie tylko słownie wyjaśniali kwestie, lecz rysowali też wiele wykresów na piasku. Ale gdy z tymi ludźmi rozmawiałem o *Kategoriach*, niczego mi nie potrafili powiedzieć ponad to, co sam o własnych siłach zrozumiałem z lektury.

Treść tej książki wydała mi się dosyć jasna. Definiowała ona substancje, takie jak na przykład człowiek, i ich atrybuty. Człowieka cechuje pewien kształt. Ma on też wysokość mierzoną w stopach; jest to atrybut ilościowy. Pozostaje też w relacji do innych ludzi; na przykład jest czyjś bratem. Można też powiedzieć, gdzie się znajduje i kiedy się urodził, jak również określić jego pozycję — czy ten człowiek stoi,

czy leży. Można określić, co posiada — czy ma buty na nogach, czy jest uzbrojony; co czyni i czego doznaje. Podałem te przykłady, ale można by bez końca wymieniać inne, wszystkie zaś sprowadzają się do dziewięciu różnych kategorii, oprócz których jest jeszcze podstawowa kategoria substancji.

Czy to mi coś pomogło? Nie, raczej mi to zaszkodziło. Bo wyobraziłem sobie, że wszystko, co istnieje, można sprowadzić do takich dziesięciu kategorii. Również Ciebie, Boże mój, cudownie prostego i niezmiennego, usiłowałem pojąć w taki sposób, jakbyś Ty był substancją, a wielkość i piękność były Twymi atrybutami, istniejącymi w Tobie tak, jak istnieją w bycie materialnym. A przecież wielkością Twoją i pięknnością Ty sam jesteś, byt zaś materialny nie dlatego jest wielki i piękny, że jest bytem materialnym; ciało, choćby było mniejsze i mniej piękne, też byłoby ciałem. Fałszem więc, a nie prawdą było moje wyobrażenie o Tobie. Była to fikcja wyłoniona z mej nędzy, a nie fundament Twego szczęścia niewzruszony. Z Twojego to nakazu tak się działo, że ziemia rodziła mi ciernie i osty i w mozole chleb mój zdobywałem.^{xiii}

A czy większy był pożytek z tego, że wtedy, gdy byłem tak nikczemnym sługą niedobrych namiętności, przeczytałem ze zrozumieniem wszystkie, do jakich tylko zdołałem dotrzeć, książki dotyczące tak zwanych sztuk wyzwolonych? Zachwycając się nimi, nie wiedziałem, skąd pochodzi to, co w nich było prawdziwego i pewnego. Obróciłem się bowiem plecami do światła, a twarzą do tego, co ono oświecało.

Dlatego sama twarz moja, której oczyma dostrzegałem owe rzeczy stojące w świetle, nie była oświetlona. Bez większych trudności, bez pomocy nauczycieli zdołałem zrozumieć wszystko, co czytałem o sztuce retorycznej i logice, o geometrii, muzyce i matematyce. Ty wiesz, Panie Boże mój, że i bystrość pojmowania, i ostrość polemiczna Twoim są

darem. A ja za nie dziękować Tobie nie umiałem. I dlatego owe zdolności nie były dla mnie pożyteczne, lecz raczej zgubne. Cenną część mego dobytku zapragnąłem uchwycić we własne ręce, i siły mej nie dla Ciebie strzegłem. Odszedłem daleko od Ciebie do obcego kraju 19, aby dobytek roztrwonić na miłostki, jakie się kupuje za pieniądze. Jakież był dla mnie pożytek z dobrych rzeczy, skoro nie posługiwałem się nimi dobrze? A dopiero wtedy przekonałem się, że te nauki nastęrczają wielkie trudności nawet pilnym i zdolnym uczniom, gdy sam zacząłem je innym wykładać, tylko najwybitniejsi z moich uczniów potrafili nadażać za tokiem mego wykładu.

Ale na cóż mi były te zdolności, skoro mniemałem, że Ty, Prawdo, Panie Boże mój, jesteś ciałem świetlistym i bezmiernym, a ja małym kawałkiem oderwanym od tego ciała? Cóż to były za brednie! A ja w tym tkwiłem. I nie będę się wstydził, Boże mój, świadczyć o Twoim miłosierdziu wobec mnie i wzywać Twojej pomocy, skoro przedtem się nie wstydziłem wmawiać ludziom moich bluźnierczych rojeń i szczekać przeciw Tobie. Czy miała wówczas dla mnie jakąkolwiek istotną wartość moja inteligencja, która potrafiła przeskakiwać wszystkie trudności nauki i bez pomocy nauczycieli rozwikłać wszystkie zawiłości w książkach, skoro w nauce o miłości do Ciebie błdziłem tak ohydnie, tak bluźnierczo? Albo czy wiernym Twoim dzieciom przynosiło szkodę to, że daleko im było do mojej bystrości — skoro nigdy daleko od Ciebie nie odeszły? W gnieździe Kościoła Twego bezpiecznie się opierały, umacniając skrzydła miłości pokarmem trzeźwej wiary.

O Panie Boże nasz, w osłonie skrzydeł Twych chcemy położyć nadzieję; a Ty ochraniaj nas i nieś. I dzieci będziesz niósł, i wszystkich innych, aż do starców siwych, bo moc nasza tylko wtedy jest mocą, gdy Ty jesteś przy nas. Kiedy

polegamy na sobie, w słabość się przemienia. Żyje u Ciebie na wieki dobro nasze. A skoro się od niego odwróciliśmy, jesteśmy przewrotni. Powróćmy już teraz — spraw to, Panie — tak, abyśmy się nigdy więcej ku zgubie nie obrócili. Albowiem żyje u Ciebie bez żadnego ubytku dobro nasze, którym jesteś Ty sam. Już nie będziemy pytać z lękiem, gdzie się podziejemy i dokąd mamy powrócić. Odeszliśmy stamtąd. Ale podczas naszej nieobecności nie rozpadł się ten dom nasz, wieczność Twoja.

ⁱ 1 POT. Prz 10, 4; Oz 12, 1.

2 J 5, 14.

3 Nazywał się Windycjanus (por. ks. VII 6).

4 Por. Ps 93, 1.

5 Horacy, Pieśni I 3, 8.

6 Iz 46, 8.

7 Ps 18, 6.

8 Por. J 1, 10.

9 Por. 1 Tm 1, 15.

10 Por. Mt 10, 30.

11 Por. 1 Kor 8, 6.

12 Por. Ps 17, 29.

13 Por. J 1, 16.

14 Por. J 1, 9.

15 Por. Jk 1, 17.

16 Por. J 3, 29.

17 Por. Ps 50, 10.

18 Por. Rdz 3, 18—19.

19 Por. Łk 15, 13.

ii
iii
iv
v
vi
vii

viii
ix
x
xi
xii
xiii